

Gumplowicz, Ludwik

Istota rozwoju dziejowego ludzkości

Przegląd Historyczny 6/1, 1-12

1908

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

Istota rozwoju dziejowego ludzkości.

Każdy wypadek życiowy, każde zjawisko dziejowe ma swoją stronę indywidualną i lokalną a zarazem swoje znaczenie zasadnicze,—że tak powiem: szatę zewnętrzną, obojętną i — treść ideową. Tłum gapi się na szatę: nauka pyta o treść. Gazety opisują obszernie tysiące szczegółów, zdarzeń i wypadków: do panteonu nauki dostaje się tylko ich treść ideowa, ich znaczenie zasadnicze. Tem się tłumaczy, że myśliciele oddawna już wobec niezliczonego mnóstwa wypadków i zdarzeń dziejowych stawiają sobie pytanie: jaka ich treść ideowa, jaka myśl tkwi w chaosie dziejów? W istocie bowiem—bez myśli—dzieje są chaosem: dopiero myśl w chaos ten wprowadza ład, z chaosu tworzy jakiś kosmos. Dotąd jednak usiłowania myślicieli a specjalnie filozofów historii—w nowszych zaś czasach socjologów, dążących do wykazania takiej treści dziejów, takiej tkwiącej w nich myśli, były dalszy bezowocne: ani powszechnego nie mogły uzyskać uznania, ani też, zyskawszy chwilowo uznanie, nie mogły się długo utrzymać. Poznaliśmy niedawno na tem miejscu kilka takich koncepcyj, ¹⁾ z których żadna nie zdołała zjednać sobie trwałego ani powszechnego uznania. Nie dziw więc, że problemat historyozoficzny nadal zajmuje uwagę myślicieli, a w ostatnim czasie — głównie socjologów. To też jeden z najznakomitszych pomiędzy nimi, Gustaw Ratzenhofer, poświęciwszy cały szereg dzieł kwestyom socjologicznym i filozoficznym, jako to: polityce, etyce, monizmowi, krytyce rozumu itp., w ostatnim swoim dziele o „Socjologii“, którego śmierć przedwczesna (1901) wydać mu samemu już nie pozwoliła i które obecnie z teki pozgonnej wydał syn jego,—podjął na nowo starą kwestyę: co właściwie stanowi istotną treść dziejów? Pod jaki wspólny mianownik

¹⁾ Por. „Przegląd Historyczny“ T. I str. 1. „Historia a Socjologia.“

sprowadzić można te niezliczone wypadki i zdarzenia, których ogół nazywamy dziejami ludzkimi?

I przyznać trzeba, że sposób, w jaki Ratzenhofer tę starą kwestyę rozwiązuje jest—przynajmniej pod względem formalnym—wielce zadawalniający. Powiadam—pod względem formalnym, bo, jak to zaraz zobaczymy, Ratzenhofer trafnie zauważył i w odpowiednią formułkę ujął kontury zewnętrzne, w jakich nam się przedstawiają dzieje ludzkie. Formułka ta brzmi: «Dzieje ludzkości są wieczną walką między indywidualistyczną dążnością jednostek, to jest „indywidualizacją“, a uspołeczniającym naciskiem otoczenia, czyli „socyjalizacją.»

W istocie, jeżeli się zastanowimy głębiej nad tą formułką, przyznać musimy, że da się ona zastosować do wszystkich objawów dziejowych, do wszelkich zjawisk i wydarzeń historycznych. Niech to objaśni przykład: Absolutny monarcha chce ludowi narzucić wolę swoją; lud powstaje, robi rewolucyę, żądając ograniczenia władzy monarszej. Treścią ideową tego zdarzenia jest walka między indywidualistyczną dążnością jednostki („indywidualizacją“) a uspołeczniającym naciskiem otaczającego ją ludu („socyjalizacją“). Formułka Ratzenhofera znajduje tutaj zupełne zastosowanie. Albo, dajmy na to, wybuchła strejk, robotnicy stawiają różne żądania: wyższej płacy, łagodniejszego traktowania itp. Jakaż jest treść ideowa tej walki? Nie inna jak tylko ścieranie się indywidualistyczne jednostki, w danym wypadku—pracodawcy, z uspołeczniającym dążeniem robotników, a więc—„indywidualizacji“ z „socyjalizacją.“

Przypatrzmy się po kolei wszelkim typowym epizodom rozwoju społecznego i politycznego, a przekonamy się, że formułka Ratzenhofera polega na trafnem spostrzeżeniu. Więc zacznijmy od walki absolutyzmu z feudalizmem, toczącej się w parlamentach średniowiecznych i aż do czasów nowożytnych. Absolutyzm dąży do uniezależnienia się od parlamentów i sejmów: szlachta dąży do uspołecznienia rządu, to jest do narzucenia rządowi swojej woli społecznej. Szlachta żąda, aby król stosował się do woli sejmu, czy parlamentu, reprezentującego wolę jej społeczności. Mamy więc przed sobą walkę dwóch zasad: indywidualizacji z socyjalizacją. Chłopi dążą do uwłaszczenia i do wyzwolenia się z pod

1) „Die Geschichte der Menschheit ist ein ewiger Kampf zwischen dem individualisirenden Streben der einzelnen und dem sozialisirenden Zwang der Umgebung“. Ratzenhofer, Soziologie. 1907, str. 224.

władzy właściciela ziemskiego i to znowu walka tychże samych dwóch zasad.

Papież wyklina modernistów, którzy żądają wolności myśli, badań, sumienia, wolnego wypowiedania przekonań i uznać nie chcą nieomyślności Głowy Kościoła: Czyż to nie te znowu dwie zasady ze sobą walczą — społeczność hierarchiczna z indywidualizmem papieskim, i socjalizacja kleru z indywidualizacją papieża?

Widzimy tedy, że formułka Ratzenhofera jest trafna; ale zachodzi pytanie, czy jest ona naukową wydajną, t. j., czy może nam posłużyć do poznania nie tylko form zewnętrznych, w jakich odgrywają się wypadki dziejowe, ale także — najtajniejszych sprężyn czynów ludzkich, składających się na te wypadki i na zdarzenia dziejowe? Nie waham się na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Bo formułka Ratzenhofera odsłania nam najgłębszy motyw wszelkich działań ludzkich, jakim jest: interes własny. Z tego źródła wypływają zarówno indywidualistyczne dążenia jednostki jak i socjalizacyjne dążenia grup, klas, czy stronnictw.

Znając zaś owo źródło działań ludzkich, możemy w każdym wypadku, czy zdarzeniu, jak po nitce do kłębka, dojść do wyjaśnienia jego genezy, rozwoju i tendencji; co więcej, możemy z wielkim prawdopodobieństwem wysnuć wnioski co do przyszłego rozwoju każdej akcji dziejowej, albo ustroju społecznego.

I w istocie, Ratzenhofer, wychodząc z tego założenia, że każda istota żyjąca działa i postępuje zawsze w kierunku swego wrodzonego interesu i, póki jest normalną, nigdy inaczej ani działać ani postępować nie może, skreślił nam obraz rozwoju społecznego, który nie ma w sobie nic sztucznego, a którego jasność i prostota dziwną mają moc przekonywującą.

Dzieli on cały rozwój społeczny od prawników do dzisiejszej doby na sześć okresów, do których dodaje dwa okresy przyszłościowe, wywnioskowane z danych przesłanek. Oto szereg tych okresów:

1) Pierwotny stan społeczny. Odżywianie i rozmnażanie się ludzi odbywa się bez znaczniejszych walk. Albowiem walkę o byt prowadzą wtedy ludzie tylko z naturą i ze zwierzętami; hordy ludzkie zaś, unikając walk ze sobą, wędrują i rozchodzą się po całej kuli ziemskiej, uciekając jedne przed drugimi. W tym okresie powstały w różnych dalekich od siebie środowiskach geograficznych główne rasy ludzkie.

2) Okres początków kultury pierwotnej. Szczepy, które wśród korzystnych warunków stałe obrały sobie siedziby

zaczęły z sąsiednimi szczepami wchodzić w stosunki gospodarczo-handlowe, co dało początek pierwszym ustrojom społecznym, (szczepom). W tym okresie wytworzyły się też obok szczepów osiadłych, rolniczych, szczepy koczujące, żyjące z chowu bydła; słowem—obok rolników powstały szczepy łowieckie i koczownicze—pomiędzy nimi zaś zjawily się pośredniczące szczepy handlujące.

3) Okres barbarzyński. Wzrastająca liczba szczepów koczowniczych stała się powodem coraz to częstszych zatargów ze szczepami osiadłymi i rolniczymi. Tak nastaly czasy barbarzyńskie.

4) Okres wojowniczy. Z czasem rabunki i pustoszenia ustąpiły miejsca wojnom regularnym, które, kończąc się podbojem i ujarzmieniem szczepów rolniczych przez szczepy koczujące, dały początek państwowom.

5) Okres wszechstronnego wynajdywania nowych warunków życia. W nowo powstałych ustrojach państwowych klasy panujące pragną coraz to nowych uciech, zabaw i rozkoszy; przywykają do coraz to wykwinniejszych potrzeb, których zaspokojenie stanowi zawód i powołanie—klas średnich, kupców i handlarzy. Tym sposobem zasoby klas panujących spływają powoli do klas średnich, gdzie dają początek—kapitalizmowi, którego rozwój stanowi główną cechę następującego okresu; jest to dzisiejszy.

6) Okres kapitalizmu i handlu światowego. Chciwość bogactw i coraz większych zdobyczy staje się w tym okresie powodem krwawych wojen pomiędzy państwami kulturalnymi; pieniądź zaś jedynie daje potęgę i wpływy. Kapitalizm stał się najpotężniejszym czynnikiem rozwoju. Wyrosła na gruncie kapitalizmu plutokracja, w sojuszu z resztkami dawnej arystokracji, dzierży panowanie nad masami ludu.

Ale Ratzenhofer nie wierzy, aby okres ten był długotrwały—wierzy on natomiast, że przyjść musi

7) Okres stałych siedzib i harmonijnej produkcji. W tym przyszłym okresie rasy cywilizowane wytepią tubylczą ludność w koloniach, a każdy kraj zamknie granice swoje przed imigracją obcych. Handel międzynarodowy ograniczony będzie do najpotrzebniejszych produktów z zagranicy — a kapitał straci dawną moc i potęgę.

Ale i ten przyszły okres harmonii i pokoju nie potrwa wicznie, bo tak samo, jak wszelkie ustroje giną po przebyciu właściwego swego rozwoju, tak też i ustroje społeczne, po przebyciu

pewnego punktu kulminacyjnego, chyłą się do upadku i wreszcie zginąć muszą. Nastąpi więc niechybnie

8) Okres zanikających warunków życia, który wszelkiemu rozwojowi społecznemu koniec położy. Tę ostatnią katastrofę sprowadzą na ludzkość przyczyny telluryczne: Ponowny okres lodowy.

Czy po tej katastrofie kiedyś, w następnych okresach geologicznych, wraz z powrotem nowego życia na ziemi, rozpocznie się nowy proces społeczny? Tę kwestyę Ratzenhofer słusznie uważa dla nas za obojętną, bo rasy, dzisiaj żyjące, tego odrodzenia życia na ziemi nie doczekają. One bezpowrotnie i bez zmartwychstania w ostatnim okresie rozwoju społecznego doszczętnie zginąć muszą. W ten sposób cały ów, przez osiem okresów ciągnący się proces społeczny, przedstawiający nam rozrost i rozwój rodzaju ludzkiego, aż do jego upadku i zaniku ostatecznego, według Ratzenhofera tworzy tylko epizod w rozwoju kuli ziemskiej. Stała się ona bowiem na pewnym szczeblu swego rozwoju geologicznego życiodajną i wydała świat ustrojów, z którego powstał rodzaj ludzki; ten rodzaj przebiega całą skalę rozwoju społecznego, póki ziemia, która go wydała, nie ostygnie, nie zlodowacięje i nie pozbawi go środków do życia. Trudno nie przyznać, że takie pojmowanie życia rodzaju ludzkiego na ziemi odpowiada najzupełniej dzisiejszemu stanowi wiedzy naszej o świecie i o ziemi.

Możnaby powiedzieć, że takie pojmowanie życia rodzaju ludzkiego poniża wszelką naukę historyczną. Bo i na cóż się mozolić i głowę sobie łamać nad ideową treścią dziejów ludzkich, skoro wiemy, że całe te dzieje są krótkim epizodem życia ustrojów żywych na ziemi, ustrojów, z których w następnej fazie geologicznej śladu nie pozostanie? Cóż tu mówić o ideach, których istotą przecież powinna być wieczność, skoro te wszystkie, niby „idee historyczne“, w danej chwili ostatecznej katastrofy, wraz z całym rodzajem ludzkim marnie zginą?

Zarzuty takie przeciw filozofii historii są atoli zupełnie chybione. Boć ostatecznie jesteśmy ludźmi, a świat ludzki słusznie uważany jest za przedmiot najgodniejszy naszych badań i naszych dociekań. Że ród ludzki jest niejako wykwitem kory ziemskiej w pewnym okresie jej przeobrażeń i że w pewnym dalszym okresie tych przeobrażeń zniknąć musi z jej powierzchni, to bynajmniej nie zmienia stanowiska naszego wobec istniejącego świata ludzkiego i jego społeczeństw, których jesteśmy częścią integralną. Jako ludzie i części społeczeństw, nie możemy mieć wyższego interesu nad poznanie istoty społeczeństw i świata ludzkiego. Jako

indywidua, mamy interesy fizyologiczne i biologiczne, ale wzniosłszy się ponad poziom tych interesów indywidualnych, jako ustroje myślące, nic nas bardziej obchodzić nie może nad poznanie nas samych jako składników społeczeństw, a przez nie — ludzkości. Że ta ludzkość, tak jak raz powstała, raz też zaginie, nie zmniejsza to bynajmniej naszego interesu idealnego: pragniemy wiedzieć, jakżeśmy powstałi i jak zaginiemy. Pomiędzy początkiem naszym a końcem leżą dzieje nasze, przeto treść tych dziejów, i świadomość jak one się odbywały, jakie prawa nimi rządziły i rządzą, jakie idee w nich wyraz znajdują, — stanowią i stanowić muszą najwznioślejszy przedmiot dociekań ludzkich.

*
*
*

Widzieliśmy jak Ratzenhofer przedstawia treść dziejów jako rozwój kultury, podniecany przez ciągłą walkę dwóch zasad: indywidualizacji i socjalizacji. Ale Ratzenhofer nie rozwinął teorii swej do ostatecznej konsekwencji. Zna on bowiem tylko walkę osobistości z masą. Walka taka odbywa się jedynie w łonie pojedynczych grup społecznych, oraz klas. Tymczasem teoria jego ma daleko większą doniosłość, daje się ona bowiem zastosować także do walk grup i klas pomiędzy sobą. Jest to też sama walka dwóch zasad — indywidualizacji i socjalizacji, ale na wyższym szczeblu, gdyż tutaj walczy indywidualizm klasowy, czy grupowy, z socjalizacją państwową, czy narodową. W tej formie walka ta stanowi treść dziejów wszystkich ustrojów państwowych, a zatem dla dziejów ludzkości większe ma znaczenie, aniżeli w formie walki indywidualizacji osobistej z socjalizacją grupy pojedynczej. Dla stwierdzenia tej prawdy, dosyć jest uprzytomnić sobie dzieje pierwszego lepszego państwa europejskiego od początków jego średniowiecznych dodziśdnia. Treścią tych dziejów jest walka indywidualizmu klasy panującej z tendencjami socjalizacji ogółu klas opanowanych. Klasa panująca wyzyskuje ogół narodu w celach egoistyczno-klasowych. Według jej pojęcia, naród jest tylko środkiem dla jej celów, a państwo — narzędziem w jej ręku. „Bóg stworzył chłopą, aby pracował dla szlachty; mieszczanina i żyda, żeby płacili podatki.“ Jest to bezwzględny indywidualizm klasowy. Indywidualizm ten natrafia na opór, na razie głuchy, bezwiedny, z czasem na coraz bardziej świadomy i celowy. W klasach opanowanych budzi się tendencja socjalizacji, t. j. dążenia do jaknajwiększego wyzyskania instytucji państwowych w interesie ogółu. Przeciw pojmowaniu państwa, jako instytucji, istniejącej na wyłą-

czną korzyść klasy panującej, wyrabia się powoli w klasach opartych na pojęciu państwa, jako instytucji, służącej dla dobra ogółu. Walka tych dwóch, przeciwnych sobie pojęć i zasad, stanowi istotę dziejów wszystkich państw europejskich w ostatnim tysiącleciu a i dziś dalej się ona toczy. Czy kiedyś ustanie? Czy kiedyś jedna z tych zasad zwycięży i drugą na zawsze ze świata ludzkiego wyruguje? O takim końcu tej walki ani myśleć, dopóki rodzaj ludzki kulę ziemską zamieszkuje. Bo walka tych dwóch zasad stanowi ferment rozwoju społecznego; bez tej walki nie byłoby rozwoju, a ludzkość cofnęłaby się wstecz na poziom życia zwierzęcego.

Tylko walce tej zawdzięczamy cały rozwój kulturalny, wszelki postęp umysłowy, wszystkie zdobycze na polu wiedzy, techniki i sztuki.

Ale takie znaczenie dla rozwoju ludzkości ma w pierwszym rzędzie nie walka indywidualizmu osobistego z socjalizacją klasy czy grupy, jeno walka indywidualizmu klasowego z socjalizacją narodową czy państwową. Zapewne! I pierwsza z tych walk, a raczej walka tych zasad na niższym szczeblu nie jest bez wielkiego znaczenia dla bytu i rozwoju pojedynczej grupy czy klasy... Ale też sama walka na wyższym szczeblu—pomiędzy klasą a narodem, jest wprost akcją dziejową, stanowi o losach państw i kultury. Ta walka jest prawdziwą i najistotniejszą treścią dziejów. Rzućmy tylko okiem wokoło siebie. Co się dziś dzieje w państwach kulturalnych? W Ameryce północnej wrota walki pomiędzy indywidualizmem kapitalistycznym, występującym w formie monopolów kartelowych a socjalizacją, żądającą ukrócenia swawoli kartelowej i upaństwowienia czy unarodowienia (nacyonalizacji) nietylko ziemi ale i różnych innych źródeł bogactw (np. górnictwa itp.). W państwach europejskich socjalna demokracja siłą swoją czerpie z tej okoliczności, że płynie z prądem socjalizacji przeciw indywidualizmowi klasy kapitalistycznej, wyzyskującej instytucje państwowe na swoją wyłącznie korzyść. W niektórych państwach, np. w Austrii, walka ta przybiera formy narodowościowe, bo indywidualizm klasowy występuje tam głównie w formie przewagi Niemców, przeciw której powstają łącznie żądania socjalizacji innych narodowości. Słowem, gdzie tylko spojrzymy, wszędzie na dnie walk politycznych współczesnych nam państw tkwi antagonizm dwóch zasad: indywidualizacji i socjalizacji.

Wszak nawet u nas, w takiej np. Galicji, podnoszą głowę indywidualizacje szczepowe przeciw socjalizacji narodowej. Bo czymżeż innem jest syonizm, występujący przeciw idei asymilacji narodowej, albo rusinizm, wojujący z polonizmem?

Wszędzie więc na dnie dziejów społeczno-politycznych widzimy te dwie sprężyny, jako najgłębsze przyczyny wszelkiego ruchu, życia i rozwoju. Czyż może podlegać wątpliwości, że wykrycie tych sprężyn ma dla filozofii historii takie mniej więcej znaczenie, jak wykrycie pierwiastków dla chemii? Najwyższym tryumfem chemii jest wynalezienie jakiegoś nowego pierwiastku, albo odkrycie, że dotychczas jako pierwiastek uważana materya, daje się rozłożyć na prostsze jeszcze pierwiastki.

Czyż nie podobnym nabytkiem nauki jest wykazanie, że wszelkie i wszystkie dzieje polityczne i socyalne dają się ostatecznie sprowadzić do jednej i wiecznej tej samej walki dwóch zasad: indywidualizacyi i socyalizacyi?

Istnieje jednak wielka różnica pomiędzy naukami przyrodniczymi w ścisłym znaczeniu tego słowa, a tak zwanymi moralno-politycznymi, do których należy i socyologia i filozofia historii. Właściwie nie powinnyby tu istnieć żadna różnica ale niestety—istnieje. Socyologia bowiem nie jest niczem innym, jak tylko historią naturalną społeczeństw ludzkich; powinna więc badać byt i istotę tych społeczeństw, oraz wykazywać prawa naturalne, które ich rozwojem rządzą — i nic więcej. Tymczasem jest różnica. Pochodzi ona stąd, że, jako zoologowie, badamy i opisujemy żywot—nie nasz; jako chemicy badamy i opisujemy byt i własności materyi martwej, która nam jest obcą, itd. Jako historycy i socyologowie, badamy społeczeństwo, którego jesteśmy częścią! Stąd wielka różnica w zachowaniu się naszym wobec przedmiotu, przez nas badanego.

Różnica ta ujawnia się w tem, że chemik nie stawia sobie pytania, czy kwasoród dobrze robi, nie łącząc się z wodorem i czy tlen słusznie sobie postąpił, łącząc się z rtęcią itp.? Ani astronom nie stawia sobie pytania, czy księżyc, wstępując pomiędzy słońce a ziemię, zasługuje na pochwały czy na naganę?

Ale niema historyka, któryby nie czuł się kompetentnym do wydawania sądu o słusznem czy niesłusznem postępowaniu króla X, albo ministra Y; któryby nie chwalił lub nie ganił przewodcy powstania czy opozycyi parlamentarnej; — co więcej, niema historyka, któryby takiego rozdawania pochwał i nagan nie uważał za główne zadanie swoje, któryby nie udzielał rad i nauk bohaterom swoim, jak właściwie powinni oni byli sobie postąpić...

Czy socyologia wyswobodzi się z tego dotychczasowego subiektywizmu nauk moralno-politycznych? Czy stanie ona na stanowisku nauk przyrodniczych? Czy będzie nauką w ścisłym słowa tego znaczeniu?

Jak dotąd, były ku temu skierowane usiłowania najznakomitszych socyologów. Już Comte określił socyologię, jako naukę przyrodniczą o społeczeństwie; ale, pisząc swoją socyologię, nie utrzymał się na stanowisku przyrodnika. W socyologii jego występuje raczej Francuz patriota, który wychwala rolę, jaką Francya odegrała i odegrać ma w historii, a na dzieje ludzkości zapatruje się pod kątem widzenia szowinisty francuskiego. Herbert Spencer napisał dwa tomy, aby ostrzedz badaczy przed niebezpieczeństwem subiektywizmu w badaniach socyologicznych; wykazał gruntownie wszystkie niedokładności, jakie w socyologii są koniecznym następstwem różnych uprzedzeń i gorąco zalecał największą przedmiotowość w traktowaniu zagadnień socyologicznych. Tymczasem wiadomo, że Spencer w socyologii daje się unosić jednostronnym interesom szkoły Manchesterskiej i kapitalizmu; naciąga przedstawienia rozwoju ekonomicznego i społecznego, aby wykazać zalety wolnego handlu i wolnego przemysłu (industrializmu). Jako socyolog, Spencer jest wiernym przedstawicielem i obrońcą dążności ekonomicznych przemysłu angielskiego.

Jeżeli tedy najwięksi socyologowie XIX wieku głoszą obiektywizm a wpadają sami w najgrubszy subiektywizm, przypuścić trzeba, że nie jest to ich wadą osobistą, lecz, że subiektywizm w socyologii jest słabością ogólnoludzką, z pod której żaden socyolog wyłamać się nie może. Nie trudnoby też było wykazać, że i socyologowie u schyłku XIX w., jak Lester Ward i Ratzenhofer, a zwłaszcza ten ostatni, od tej słabości pomienionej nie są wolni.

Wobec tego liczyć się trzeba z faktem, że w socyologii wpływ subiektywizmu zawsze pozostanie źródłem pewnych pomyłek i zboceń w poznaniu prawdy.

Pomyłki te i zboczenia znajdują zawsze wyraz w subiektywnej ocenie tych dwóch zasad, których walka jak widzieliśmy, stanowi najistotniejszą treść dziejów: indywidualizacji i socjalizacji.

Przedewszystkiem, każdy socyolog, jako człowiek, ulegając wpływom swego środowiska społecznego, przejęty jest pewnemi aspiracyami i dążnościami społecznymi, więc wobec różnych zjawisk społecznych czuje ciągle albo zadowolenie albo niesmak; wskutek tego pewne zjawiska muszą mu się wydawać jako dobre, inne jako złe. Będą tedy skorzy socyologowie, według swojego stanowiska osobistego, do obrony indywidualizacji, inni—socjalizacji, tak samo, jak np. historycy, wedle subiektywnego swego zapatrywania, byli i będą stronnikami absolutyzmu, a inni demokracji. Tymczasem, biorąc rzeczy bezstronnie i naukowo, ocena

zjawisk historycznych ze stanowiska etycznego (dobra, czy zła) niema najmniejszego uprawnienia — boć jeżeli wszystkie one mają ostateczne swe źródło w walce dwóch zasad: indywidualizacji i socjalizacji, to trzeba stwierdzić, że te dwie zasady działają jak ślepe siły przyrody, którym ludzie bezwzględnie podlegać muszą. Czy więc ktoś działa w myśl indywidualizacji, czy socjalizacji, zależy to jedynie od tego, na jakim miejscu w życiu się znalazł; w jakim środowisku społecznym się urodził i wychował, jakie wpływy społeczne umysł i charakter jego kształciły. Jednostka, będąc wytworem koniecznym tych wpływów, i działanie jej, są nieuniknionymi następstwami jej usposobienia. Słowem, — jakim osobnik jest, tak działa, — a jest takim, jakim go wytworzyło środowisko. Wogóle zaś może tylko działać w jednym z dwóch kierunków: albo w kierunku indywidualizacji alboliteż — socjalizacji, — boć wiemy, że wszelkie działanie publiczne ostatecznie do tych dwóch pierwiastków-zasad sprowadzić można. Czy więc osobnik działa w jednym, czy w drugim kierunku — tertium non datur — nie jest to ani jego zasługą ani jego winą. Wprzężony w nierozwikłaną sieć interesów grupowych i klasowych, osobnik płynie, chcąc niechcąc, z prądem tych interesów — świadomie czy nieświadomie. Nie osobnik też robi dzieje: tworzą je grupy i klasy, wzajemnie na siebie oddziałyując w kierunku bądź indywidualizacji, bądź też socjalizacji i podtrzymując ten proces dziejowy, którego następujące po sobie fazy tak trafnie przedstawia nam Ratzehofer.

Jakkolwiek więc mamy przed sobą proces naturalny, nieubłagany w swej logice i żelaznej konsekwencji, którego toku żadna jednostka, choćby nią był Aleksander W., Napoleon czy Bismark, zmienić nie może, nie mniej jednak — ludźmi jesteśmy i, według stanowiska naszego, czujemy sympatyę do jednego kierunku i ludzi w tym kierunku działających, a antypatyę do przeciwnego kierunku, a conajmniej żal do ludzi, popierających ów kierunek. To jest rzecz naturalna i nigdy inaczej nie będzie. Ale ze stanowiska naukowego trzeba uznać, że każdy z tych dwóch kierunków — mianowicie indywidualizacja i socjalizacja, jest na równi uprawniony i niema najmniejszej racji aby ludziom jednego kierunku przyznawać więcej zasług, czy wartości, aniżeli ludziom innego kierunku. Rzecz oczywista, że zdanie to, jakkolwiek naukowo uzasadnione, musi dla każdego polityka być wstrętne, ba! nawet w pewnych sytuacjach — wydawać mu się zbrodniczem. Ale bo też nauka i polityka są to dziedziny od siebie nietylko odróżniające się, ale wprost nawet biegunowo sobie przeciwne. Polityk działa żywiołowo i żywiołowo myśli: nauka, a w danym razie socjologia, nie

należy do żadnego obozu; nie jest ona stroną wojującą, lecz tylko jakby stacją, z nadziemskiego punktu obserwacyjnego badającą ruchy stron walczących. Jej celem nie jest zwycięstwo, tylko poznanie; nie jest ona stroniczą lecz nadpartyjną.

Grubo się mylił Platon, twierdząc, że takie państwo najlepiej będzie rządzone, u którego steru stać będą filozofowie: rządzić państwem nie jest rzeczą filozofów. Bo rząd jest stroną wojującą, tak samo jak rządzeni. Filozofia, jak wszelka nauka, a w danym wypadku i socjologia, ma z bezstronnego stanowiska badać ruchy obu stron wojujących i poznawać prawa, rządzące tymi ruchami. Stanowisko takie może być obrane tylko zdala od jednej i od drugiej strony.

To też pomiędzy polityką a socjologią niema pojednania.

Polityka „robi“ historię, a socjologia ją tłumaczy. Zwykła historia polityczna traktuje zawsze dzieje ze stanowiska partyjnego i, na nim stojąc, sądy swoje wydaje. Socjologia tłumaczy historię, jako proces naturalny, t. j. wykazuje jakie to przyczyny naturalne działy, że bieg dziejów przyjął dany kierunek i dane wydał rezultaty. Takie i jedyne zarazem jest zadanie socjologii wobec dziejów i dlatego to nie zajęcia ani czyny jednostek, choćby największych i najsłynniejszych osób historycznych mają dla niej znaczenie — ale raczej treść dziejów, ich istota, t. j. działanie tych sił naturalnych, jakie naprzemian społeczeństwa ludzkie to podnoszą ku wyżynom kultury, to znowu wtrącają je w przepaść upadku.

* * *

Czy socjologia wykryła te siły? Czy formułka Ratzenhofera zawiera określenie i wyjaśnienie tych sił? Twierdząco na te pytania odpowiedzieć niemożna. Ale formułka Ratzenhofera, wykazując nam formy, w których działanie sił tych się przejawia (indywidualizacja, socjalizacja), bądźco bądź zbliża nas znacznie ku ostatecznemu rozwiązaniu kwestyi sił, wprowadzających w ruch proces społeczny i rozwój dziejowy. Raz bowiem wiedząc, że najpierwotniejszym objawem tych sił jest bądź to indywidualizacja, bądź też socjalizacja, pozostaje tylko rozbiór psychologiczny tych dążeń, aby na ich dnie wykryć najtajniejszą ich sprężynę i źródło psychiczne. A być może, że sprężyną tą i źródłem nie jest znowu nic innego, jak tylko ów „wrodzony interes“ („das inhärente Interesse“) Ratzenhofera, któremu badacz ten przypisuje nieprzepartą moc kierowania postępowaniem i działaniem wszelkich istot żywych. Być może, iż się okaże, że i indywidualizacja i socjaliza-

cy są tylko przejawami koniecznymi tego interesu wrodzonego, kierującego działaniem ludzkim, a różnica pomiędzy temi dążnościami zależy jedynie od różnego położenia i stanowiska jednostek w łonie grup a grup—w ustrojach społecznych. Być może, że się pokaże, iż dążności—indywidualizacyjna i socjalizacyjna, są tylko maskami, pokrywającemi zawsze i wszędzie tęż samą, jedną siłę naturalną: interes wrodzony. Gdyby to kiedyś zostało naukowo stwierdzone, mogłoby mieć wielkie znaczenie cywilizacyjne. Boć wobec naukowo stwierdzonego faktu, że wszelkie działanie polityczne polega jedynie na popieraniu i bronieniu wrodzonego interesu własnego, łatwoby z życia publicznego i z areny politycznej znikły fałsz i obłuda, które dziś tam panują, a stronnictwa i grupy społeczne walczyłyby z otwartemi przyłbicami. Byłby to, w każdym bądź razie, wielki postęp. Ale zdaje się, że do tego jeszcze bardzo, bardzo daleko.

LUDWIK GUMFLOWICZ.
